ROK TRZECI.

№ 40.

Warszawa

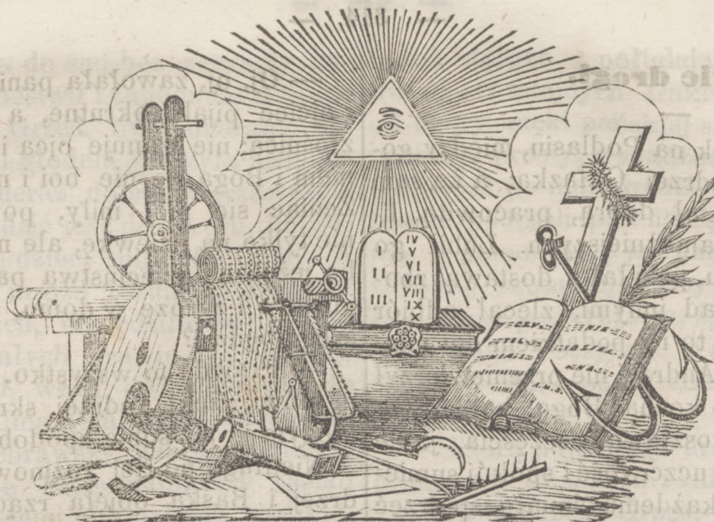
Dnia 22 września

(3 października)

1858.

Niedziela

19ta po Świątkach.



REDAKCYA CZYTELNI

przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Wszechmocny a miłosierny Boże, racz litościwie wyzwolić nas od wszelkich przeciwności, abyśmy na duszy, również na ciele oczyszczeni, wszystko to, coś rozkazał i czego żądasz, swobodnym umysłem wykonywali. (Kollekta na niedzielę 19tą po Świątkach).

Potrzeba modlitwy.

Spojrzyj w najmniejsze ziarneczko piasku,
Gdy promień słońca w nie pada,
Jak każde świecąc w złotym odblasku,
Bogu tem modły swe składa.
Spójrz, jak na łąkach trawki zielone
Skroń w srebrną rosę obwiodły,
I kornie czoła mając schylone,
Bogu swe składają modły.
Spojrzyj na kwiaty, gdy zorza ranku
Kielich im z wonią rozsłoni,
Jak się w uroczym zbierając wianku,
Bogu szlą modły z swej woni.
Spojrzyj na drzewa k' niebu wzniesione:
Każde gałązki z nich skłania,
I w pąki życia, w liść umajone
Bogu swe modły podzwania.
Spójrz w wód jeziora, w rzeki płynące,
Choć brzegi ziemi je tłumią,
Jak codzień falą, to pianą wrące
Bogu modlitwę wciąż szumią.
Spojrzyj na ziemię, co z Boskiej mocy
W tyle się cudów odziewa,
Jak swą przyrodą wednie, i w nocy
Bogu się modli i śpiewa.
A człowiek, możny władzca tej ziemi,
Co z Boskiej wszystko ma ręki,
Bogu podobny kształty swojemi,
Jakież nieść winien podzięki?
O! w każdej chwili, w każdej godzinie
Myślą i życia prawością
Bogu modlitwa niech z serca płynie,
Z wiarą, nadzieją, miłością.
Boć nam nie starczy i całe życie,
Choćbyśmy wieczne je mieli,
Za tyle ofiar i łask, obficie
Cośmy od Boga już wzięli.
Więc pracą szczerą życie wspierajmy,
By myśli w niebo nas wiodły,
Za dary Boga wciąż uwielbiajmy
I cnotą nieśmy Mu modły.

Dwie drogi.

—

W jednej z wiosek na Podlasiu, między gospodarzami był Andrzej Gałązka; a że sam był rządny i żonę miał dobrą, pracowitą, liczono go do najzamożniejszych. Lubił go dzierżawca, ufał mu, posyłał z dostawą zboża jako dozorcę nad innymi, zlecał odbiór pieniędzy, a nieraz to i z podatkiem do miasta posyłał. Nigdy Andrzej nie przeniewierzył się swemu panu, bo kochał Boga, bał się Go szczególniej, ztąd kosztował szczęścia, jakie dać może najobficiej uczciwość i spokój sumienia; mógł bowiem każdemu śmiało spojrzeć w oczy, czyto panu, czy ekonomowi, czy sąsiadowi, co właśnie nazywa się prawdziwem szczęściem na ziemi, a nie to, gdy się dobrze najemy, wygodnie wyśpimy, a nawet nie to, gdy patrzymy na wory pieniędzy, za które możemy zakupić wszelkie rozkosze świata. Spokój ten i swobodę, jakich używał Andrzej, zatruła śmierć żony, która mu zostawiła dwóch synów bliźniaczków, już po dziewięć lat mających. Wielkie to było dla niego nieszczęście, bo utracił dobrą i pracowitą kobietę; wkrótce jednakże pomyślał o innej.

— Czy to prawda, zapytała raz dzierżawczyni Andrzeja, że się żenicie?

— A jużci prawda, proszę wielmożnej pani.

— A bójcież się Boga, rzekła dobra pani, takąście mieli poczciwą żonę i jużeście ją tak prędko zapomnieli.

—A cóż robić, odpowiedział Andrzej, kiedy ot gospodarstwo upada, niema komu uczciwie jeść uwarzyć, ni chust oprać.

— To też to nieszczęście, odpowie pani, że dla tych chust tylko często żenicie się, a nieuważacie, jaką bierzecie kobietę; a wy co macie dzieci, jeżeli jaką piekielnicę weźmiecie, to co będzie? Ot, pastwić się będzie nad biednemi sierotami, a macie takich ładnych chłopaków... i pani dzierżawczyni łzy stanęły w oczach.

— Antek to jak Antek, odpowie Andrzej, potulne i pracowite, aleć Grześ, proszę wielmożnej pani, to nic dobrego; jakoś nieboszczka wielce go rozpieściła.

— Oj to źle, rzekła pani; kto pieści dzieci, to im powróz na szyję sposobi—a z kimże się żenicie, dodała po chwili:

— Z Baśką, córką Błażejów zpod młyna.

— Oj, oj, zawołała pani, toć to matka jej i ojciec pijaki okrutne, a ona pono wielka złośnica; nie szanuje ojca i matki, to tem samem i Boga się nie boi i męża nie uszanuje. Żeniąc się mój miły, powinno się patrzeć nie tylko na dziewkę, ale na jej ojca i matkę, bo jeżeli od dzieciństwa patrzy tylko na pijaństwo i zgrozę w domu, to cóż z niej lepszego będzie?

— Prawda to wszystko, co wielmożna pani mówi, rzekł Andrzej, skrobiąc się w głowę, kiedym ją już sobie upodobał wielce.

Niedługo po tej rozmowie ożenił się Andrzej i Baśka objęła rządy gospodarstwa. Była zła i skąpa; sciany niegdyś spokojnego domostwa zatrzęsły się wkrótce od wrzasku Basinego i szczęście Andrzeja uleciało jak wróbel zpod strzechy wystraszony. Nie brakło wprawdzie nic w domu, bo Baśka nie pijała, przybyło dobytku i grosza w skrzynce, bo za piękne séry, masło, płótno zwoziła kupy grosza z każdego jarmarku; i wszystkiego przybyło, tylko szczęścia ubyło, boć go tam niema, gdzie złośnica panuje, poniewiera męża i nie szanuje praw Boskich i ludzkich.

Za pierwszej żony Andrzej to i marnego słowa nie usłyszał; cichutko i milutko było w ubogiej chałupie i używali darów Bożych w spokoju. Oj! bo do szczęścia małżeńskiego nie trzeba wiele pieniędzy, starczy za nie pracowita i potulna niewiasta. A Baśka od rana tarkotała i krzyczała, od rana kłótnie, obraza Boska, szczucie na biedne dzieci: a to Antek taki, a to Grześ taki, a obijże tych łotrów, wrzeszczała na męża, który często przywiedziony do gniewu, bił dzieci najniewinniej. Przyszło nareszcie do tego, że Andrzej uciekać począł z domu, a gdzie?... oto do karczmy, a gdy wypiwszy jeden i drugi kieliszek wódki, sprobował, że wtedy zapomina o domowych kłótniach, dalejże tak codzień robić i coraz więcej dolewać i nareszcie dzień i noc siedzieć za stołem szynkarskim, albo przyszedłszy do domu, bić się z żoną swarliwą tak, że nie raz cała wieś się zbiegała patrzeć, jak oboje wodzili się za bary po ulicy i mordowali wzajem, krzycząc: nie puszczę, zabiję, zabiję.

Otóż, do czego to doprowadzi swarliwa żona najlepszego męża. Zginął Andrzejowy kredyt u ludzi, już im śmiało w oczy patrzeć nie

mógł, zamknąć oka do snu bez zgryzoty sumienia, że tak się zbestwił i zapomniał o Bogu.

Biedny Antek i Grześ, byli ofiarami tej macochy; biła ich i głodem morzyła niemiłosiernie, tak, że nieraz dobra dzierżawczyni kazała im przychodzić jeść do dworu, lub sąsiedzi wynędzniałe dzieci tulili do siebie. A raz w zimie wśród mrozu i zamieci rozgniewawszy się na nich, wypędziła na noc na dwór i tam skośniałych prawie i umierjających znalazł sąsiad, wziął do chałupy i do życia przywołał. Umarł nareszcie Adrzej nagłą śmiercią, przebrawszy miarę w trunku; wtedy ulitował się Piotr najbliższy sąsiad zmarłego nad biednemi chłopakami, nad któremi zapomniawszy, iż Bóg najciężej karze krzywdę sierocą, pastwiła się macocha po śmierci ich ojca.

— Słuchajcieno, rzekł do nich, nie macie co tu pozostawać z tą piekielnicą, kiedy wasz ojciec w ziemi leży — idźcie w świat szukać chleba, a ją tu zostawcie na pomstę Bożą; Bóg tu jej zapłaci za was.

Dobra żona Piotrowa, Małgorzata poszyła im na drogę z szarego płótna ubranie, a Piotr dał po dwa złote, mówiąc:

— Dał-cibym więcej, ale Bóg świadkiem, że ostatek oddaję.

Na wychodnem przeżegnała ich dobra Małgorzata i dała po sporej bułce chleba i serku w torebki, które im przez plecy zawiesiła.

Antek i Grześ mieli wtedy po lat jedenaście i byli do siebie jako bliznięta, bardzo podobni; rozróżniano ich po czarnych brodaweczkach, które mieli: Antek około oka prawego, a Grześ lewego, nadto Grześ później nosił znamię, na czole, pamiątkę po maczosze, która rozgniewawszy się nań, głowę mu drewnem rozwaliła.

Antek był dobry chłopak, cichy, pracowity, kochał brata, dzielił się z nim bodaj najmniejszym kawałkiem chleba, gdy przeciwnie Grzegorz zjadał go pokryjomu przed bratem i bił go niemiłosiernie.

Dwaj bracia wyszedłszy za wieś wyprawieni przez poczciwego Piotra, szli, Antek rzewnie płacząc, Grześ skacząc i śpiewając:

— Ty płaczku, mówił do brata, czego beczysz, czy ci żal macochy, co cię głodem morzyła i kijém okładała? wróć się do niej i siedź, a ja sobie pójdę.

Już dobrze z południa przyszli bracia do dwóch rozstajnych traktów: jeden naprawo od figury męki pańskiej stojącej na ich krańcach był prosty, wysadzany drzewami, nalewo wiódł po manowcach i wzgórzach. Dwaj bracia podeszli pod figurę, Antek ukląkł pod nią i pomodlił się jak umiał, dał trzy grosze ze swej szczupłej kassy siwemu dziadkowi, co siedząc pod krzyżem, śpiewał nabożne pieśni, plotąc koszyczki z sitowia, Grześ zaś siadł w cieniu pod krzakiem i zajadał chleb z sérem.

— Którą pójdziemy drogą? zapytał Antek brata, gdy odpoczęli i zabierali się iść dalej.

— Ja tą, rzekł Grześ, wskazując na manowce.

— Jużci lepiej tą, odpowiedział Antek, wskazując bratu trakt szeroki.

— A idź sobie tą, a ja pójdę tą, i niedobry chłopak zerwawszy się na nogi, poleciał cwałem w krzaki, nie zważając na krzyk i płacz Antka, który chciał go gonić, i nareszcie znużony biegiem po piasku, upadł biedak, straciwszy z oczu niedobrego brata. Widząc to dziadek, podszedł ku płaczącemu Antkowi, i wypytawszy się go, coby to znaczyć miało, rzekł:

— Nie żałuj niedobrego brata, co ci mógł tak boleśnie zranić młode serduszko, idź oto tym prostym traktem, bo najlepsza prosta droga moje dziecię, trzymaj się jej w podróży, trzymaj i w życiu; w podróży zaprowadzi cię ona do bezpiecznego miejsca, a w życiu do szczęścia. I dobry dziadek wprowadził Antka na trakt wysadzany. Idź, idź tak moje dziecię prosto, a dojdziesz do wielkiego miasta, gdzie mieszkają dobrzy ludzie, tam Bóg cię nie opuści—i poszedł Antek pobłogosławiony przez dziadka, płacząc rzewnie, tak mu żal było niedobrego brata.

— O Boże, mój Boże, mówił do siebie, kiedyż ja go zobaczę!... i łzy Antka popłynęły strugą po licach.

Szedł tak sam Antek dni ośm, ostatni dzień prawie o głodzie, bo i chleba i sérka, i pieniędzy zabrakło, gdy dnia ostatniego nad wieczorem zobaczył wieże pięknego miasta Lublina. Ale zmrok zapadał, trudno było przybyć do nieznajomego sobie miejsca wśród nocy, gdzie nikogo nie znał; wolał zatem przenocować w małej karczmie pod miastem,

a zjadłszy ostatni kawałek chleba, który mu jeszcze pozostał, układł się i zasnął. Raniutko gdy dzwonić poczynali w kościołach Lubelskich, wchodził Antek do miasta przejęty strachem na widok wysokich murów, mnóstwa ludzi uwijających się po ulicach —szedł tak drżący, biło mu trwożliwie serduszko, łzy gwałtem cisnęły do ocząt, nareszcie odurzony krzykiem i turkotem fur i bryczek zjeżdżających się na targ do miasta, ujrzał na jednej z ulic ludzi wchodzących do kościoła i poszedł za nimi. Wszedłszy do świątyni Sgo Ducha, ujrzał księdza przy ołtarzu i cudowny obraz Matki Boskiej opiekunki strapionych dziatek, odsłonięty, jaśniejący mnóstwem światła i złota. Zachwycony tym widokiem Antek upadł na kolana, i całą mszę płacząc, modlił się serdecznie, bezustannie powtarzając:

— O! Matko serdeczna, ratujże mnie ratuj, i ratuj tam biednego Grzesia.

I widać, że Matka Najświętsza krótkich ale szczerych modłów wysłuchała, bo po mszy wyszedł Antek raźniejszy z kościoła, patrzał przed siebie śmielej, i gdy tuż za kościołem stanął, by się rozpatrzeć, w którąby pójść drogę, jakaś kobieta pomiejsku ubrana, w jaskrawej sukni i w suto garnirowanym czepku, ująwszy go za ramię, zapytała:

— Chłopaku, czego to tak płakałeś w kościele?

Antek dobrodusznie opowiedział wszystko, dobra kobieta rzekła:

— Nie płacz moje dziecię; grzech płakać sierocie, gdy ona ma dobrego opiekuna w niebie. Modliłeś się szczerze do opiekunki opuszczonych, Ona tam w niebiosach przełoży twe prośby, a tymczasem chodź za mną.

Około Dominikanów przy *Złotej* ulicy weszła mieszczka z Antkiem do kamienicy, i wprowadziła go do dużej stancyi, gdzie stał przy warsztacie stolarskim niemłody wynędzniały mężczyzna i kilku czeladzi.

— Słuchajno Mateuszu, rzekła mieszczka do mizernego mężczyzny, ot przyprowadzam ci czeladnika, i opowiedziała spotkanie z Antkiem.

Sam majster i czeladnicy położywszy heble, przypatrywali się nieśmiałemu Antkowi, a gdy skończyła opowiadanie pani majstrowa, mąż jej zapytał Antka:

— A masz ty ochotę do stolarki?

— Czemu nie, odpowiedział Antek nieśmiało, rad, że znajdzie jakikolwiek przytułek.

Dobra kobieta nakarmiła zaraz zgłodniałego chłopca tłustym kapuśniakiem z wędliną, co pozostał od ogólnego śniadania, i wyprawiła go do stajenki na siano, by odpoczął po podróży, gdzie Antek chrapał do samego południa.

Wieczorem gdy spać iść mieli, kazała pani Mateuszowa przy sobie Antkowi zmówić pacierz, który Bóg wie jak plótł, tak, że pani majstrowa brała się za głowę ze zgrozy i gniewu, wołając:

— A cóż też to za bezbożne to chłopstwo, a toć chłopak nie umie pacierza, i plecie duby, a toć to się kary Boga nie boją, a to Sodoma i Gomora!

I dobra kobieta męczyła się z Antkiem z jaką godzinę i surowo mu przykazała, aby co rano i wieczór przychodził do niej na modlitwę.

Na drugi już dzień wziął się Antek z ochotą do roboty, i wkrótce wszyscy go polubili, bo był usłużny, cichy i pracowity, nikomu nie wlazł w drogę, na nikogo przez pochlebstwo nikczemnie nie szczuł, i nie wyszło miesiąca, a znacznie postąpił w nauce, tak, że pan majster pomiarkował zaraz, jakiego w nim będzie miał zręcznego i pracowitego robotnika, a pani majstrowa często powtarzała:

— Ho, ho, umiem ja się poznawać na ludziach.

Następnie posyłać Antka zaczęto do szkoły rzemieślniczo-niedzielnej, gdzie w parę lat nauczył się dobrze czytać, pisać i rachować,

Majstrowie, w których ręce Opatrzność zwierzyła Antka, nazywali się Heblińscy; byli to ludzie bardzo dobrzy, uczynni, miłosierni, dla czeladzi jak rodzice: i pogłaskali i napomnieli, a w razie to i pomogli. Pan Mateusz ciche i spokojne człowieczysko, był jednym z najlepszych majstrów w Lublinie, a co więcej trzeźwym, rzetelnym; żadna fuszerska robota nie wyszła za jego progi, nie zdzierał bez sumienia, i choć nie zbijał grosza, nieuczciwie, za złą robotę wydartego kupującemu, co gdzieś w rękach niknie bez korzystnie i zpod klucza zmyka niewidzialnie, a którym to jak świat światem nikt się jeszcze bogactw nie dorobił, miał jednak zawsze od przypadku jakie parę tysiączków gotówki w kuferku

i czyste oko, żadnym niegodziwym postępkiem niezapruszone. Spożywał też spokojnie, czem go Bóg udarował, i spał smaczno, bo sumienie ów nasz najstraszniejszy sędzia i prześladowca, z nim razem do snu układało się cichutko. Najgorzej tylko było ze zdrowiem pana Mateusza; nie miał go całkiem i cherlał a cherlał ciągle, a tu biedak chciał jakoś los zapewnić jedynemu synowi, który im z sześciorga dziatek pozostał. Martwił się nim, bo nie chciał się uczyć stolarki, w cieniutkim mondurku chodził do szkół, czytał książki i kierował się jak pan Mateusz mawiał, na wielkiego pana, pogardziwszy rzemiosłem ojcowskiem.

Po upływie zwykłego czasu Antek wyzwolonym został na czeladnika, następnie na majstra, i był jak to mówią, prawą ręką panu majstrowi, który coraz słabszy, więcej w łóżku niźli przy warsztacie przebywał.

(Dokończenie nastąpi).

Rozmowa o Jeografii.

(Ciąg dalszy, patrz nr. 38 Cz.)

—

Otóż przechodzimy teraz, tak zaczął ojciec, do gubernii Lubelskiéj, a podróż niedaleka; siadłszy w łódkę w gubernii Radomskiéj, przewieziesz się przez Wisłę i oto już w Lubelskiej; bo trzeba wam wiedzieć, że Radomska przez całą swoję szerokość oddziela się od Lubelskiéj rzeką Wisłą, tak że na lewym jej brzegu leży Radomska, na prawym Lubelska. Całą przestrzeń naszego kraju zawartą między rzeką Bugiem ze wschodu i północy, a Wisłą z zachodu zajmuje gubernija Lubelska; jedna tylko mała cząstka, to jest powiat Stanisławowski, należy do gubernii Warszawskiej.

Jaś. O, pamiętam, pamiętam, tato mówił, że Warszawska gubernija na lewym brzegu Wisły i tylko powiat Stanisławowski na prawym.

Ojciec. Otóż rozległość gubernii Lubelskiéj wynosi 564 mile kwadratowe, a na tej przestrzeni mieszka blizko miljon ludzi. No, Jasiu, powiedz, iluż mieszkańców przypadnie na jednę milę?

Jaś. Podzielę miljon przez 564, i będę wiedział.

Ojciec. Dobrze; ja podzieliłem już, i powiem ci, że przypada po 1773 mieszkańców.

Jaś. Któraż gubernija większa: Radomska czy Lubelska?

Ojciec. Lubelska cokolwiek większa, ale obie są bardzo duże, bo każda z nich powstała z połączenia dwóch gubernij w jednę; jak z Kieleckiéj i Radomskiej powstała Radomska, tak z Podlaskiej i Lubelskiej powstała Lubelska. Główne zajęcie mieszkańców gubernii Lubelskiej stanowi rolnictwo, nie tak jak w Radomskiej, gdzie jest mnóstwo kopalń, i gdzie zatem prócz rolnictwa i górnictwo kwitnie.

Jaś. A czy w Lubelskiej gór niema?

Ojciec. Żadnych prawie; prócz niewielkich wzgórzy ku południowi, bo wysokich nadbrzeży Wisły górami nazwać nie można; ztąd i kruszcze żadne tu się nie dobywają, prócz rudy żelaznej i to w niewielkiej ilości i kredy w okolicach Chełmu. Ale ziemia w ogóle jest bardzo urodzajna, i rolnictwo w stanie pomyślnym.

Jaś. A po miastach czém się zajmują mieszkańcy?

Ojciec. Po miastach przemysłem i handlem, znaczniejszych jednak zakładów fabrycznych w tej gubernii niema.

Jaś. Jakże się nazywa główne miasto gubernii?

Ojciec. Lublin nad rzeką Bystrzycą; liczy on do 16tu tysięcy mieszkańców, z tych większa połowa żydów. Jestto po Warszawie i Łodzi najludniejsze miasto w Królestwie, i przytem bardzo ważne pod względem historycznym. Kiedy i przez kogo było założone, niewiadomo; ale istnieje w nim dotąd kościół Śgo Mikołaja, wystawiony w r. 986, a zatem przed dziewięciuset blizko laty przez Mieczysława Igo, który chrzest święty przyjął i wiarę chrześcijańską do Polski wprowadził. A pamiętacie kiedy to było?

Staś. O, to to i ja pamiętam, w roku 965; za kilka lat będzie już 900 lat jakeśmy wiarę chrześcijańską przyjęli.

Ojciec. Dobrze; w Lublinie jest bardzo dużo kościołów, pamiętających dawne czasy, prócz tego wiele gmachów wspaniałych, a między temi pierwsze miejsce zajmuje ratusz,

odnowiony przez ostatniego króla polskiego Stanisława Poniatowskiego; dalej brama krakowska przedstawia piękny pomnik starożytności; słup zaś żelazny na rynku wystawiony przypomina jednę bardzo ważną chwilę w historyi polskiej.

Jaś. Na jakąż pamiątkę on wystawiony?

Ojciec. Na pamiątkę połączenia Litwy z Polską.

Jaś. Nie rozumiem tego.

Ojciec. Zaraz wam to wytłómaczę. Polska składała się dawniej z trzech wielkich części: z Wielkopolski, do której należały dzisiejsze wschodnie ziemie Królestwa Pruskiego, i gubernija Warszawska z Płocką; z Małopolski, do której należały, ziemia Krakowska, gubernije Lubelska i Radomska, cała Galicyja, dziś należąca do Austryi, Wołyń, Podole województwo Kijowskie, i z Litwy, do której należały dzisiejsze gubernije Kowieńska, Wileńska, Grodzieńska, Mińska, Witebska i Mohilewska, a w dawniejszych czasach i Smoleńska. Otóż Litwa do roku 1386 miała swych własnych książąt, którzy nią rządzili samowładnie, i zostawali w ciągłych prawie zatargach ze wszystkiemi sąsiadami, a zatem i z Polską. Ale kiedy wielki książę Litewski Władysław Jagiełło powziął zamiar ożenić się z królową polską Jadwigą, wtedy Polacy obrali go i królem polskim, a w ten sposób dwa państwa stanowiły jedno, bo miały jednego i tegoż samego pana. Ale wielka zachodziła różnica między temi państwami: w Polsce mówiono po polsku, w Litwie po litewsku i po rusku; w Polsce była religija katolicka, w Litwie jedna część narodu oddawała cześć bożkom z drzewa, kamienia albo gliny zrobionym, druga zachowywała obrządek grecki i nie uznawała Papieża Rzymskiego za głowę swego kościoła; w Polsce panowie i szlachta należeli do rządu państwa i władza króla była ograniczona; na Litwie wielki książę miał prawo życia i śmierci nad wszystkimi poddanymi. Zdawało się niepodobieństwem, żeby takie dwa kraje zlać się mogły, a jednak ostatecznie zlały się w jedno.

Jaś. Jakże to się stało?

Ojciec. Litwini, co się kłaniali bałwanom, wyrzekli się swych bogów i przyjęli wiarę Rzymsko-katolicką, Rusini złączyli się z kościołem Rzymskim i uznali Papieża za głowę swego kościoła, otóż główna zawada i uprzątnięta.

Jaś. Ale z językiem jakże było?

Ojciec. Panowie litewscy ponauczali się po polsku i powoli powoli zapomnieli swego języka, którym dzisiaj na Litwie mówi tylko lud prosty; a z władzą książęcą to było najłatwiéj, bo panowie litewscy byli bardzo radzi, że zostali przypuszczeni do rad o dobro kraju, a tak kiedy już wszystkie przeszkody zostały usunięte, król polski, który był razem i wielkim księciem Litewskim, Zygmunt August, ostatni z domu Jagiełły, zwołał wszystkich panów polskich i litewskich do Lublina i jak zaczął im przekładać, że się powinni kochać jako dzieci jednego ojca, że od ich zgody pomyślność jednego i drugiego kraju zależy, więc też panowie nie opierali się dłużej i na wieki połączyli się z sobą, tak że odtąd żadnéj już różnicy między Polakiem i Litwinem nie było.

Jaś. Więc na tę pamiątkę stoi słup żelazny w Lublinie.

Ojciec. Zygmunt August wystawił go z kamienia ciosowego, ale gdy czas go zniszczył, Cesarz Aleksander I w r. 1825 na jego miejsce wystawił żelazny. Wiecież teraz na jaką pamiątkę słup ten wystawiony?

Jaś. Wiemy, tylko tego nie wiemy kiedy to połączenie się stało?

Ojciec. W roku 1569, a zatem blizko we dwieście lat po połączeniu się Jagiełły z Jadwigą.

Jaś. Jeszcze co niech tato nam powie o Lublinie.

Ojciec. No, Stefan Batory król polski ustanowił w Lublinie w r. 1578 trybunał czyli sąd najwyższy dla całéj Małéjpolski, co wielce się przyczyniło do wzrostu miasta, które w owych czasach liczyło do 40 tysięcy mieszkańców. W powiecie Lubelskim wiele miast zasługuje na wspomnienie; ja wam zaś powiem tylko o niektórych. Na pierwszém miejscu kładę *Kazimierz* nad Wisłą, a że w królestwie Polskiém są trzy miasta tago nazwiska i gdy prócz tego na górnéj Wiśle leży przedmieście Krakowa także Kazimierzem zwane, więc dla różnicy ten Kazimierz, o którym wam mówię, nazywamy *Kazimierzem dolnym*, bo leży względem Krakowskiego Kazimierza na dolnych częściach rzeki Wisły. Mieszkańców

w nim przeszło pół-trzecia tysiąca. Położenie Kazimierza prześliczne; z jednéj strony otaczają go wyniosłe wzgórza, z drugiéj tuż pod miastem płynie Wisła, a w środku leży miasto, w którém dotąd stércza zwaliska dawnych szpichlerzy, lub lśnią się wieże kościołów. Nazwisko swe miasto wzięło od imienia króla Polskiego Kazimierza Wielkiego, który uważając to miejsce za dogodne dla handlu zbożowego, założył tu miasto, pobudował szpichlerze zbożowe i dla siebie wzniósł zamek niewielki, którego dotąd widać zwaliska. Z przeciwnéj strony Lublina, bo na wschód od niego, leży miasteczko *Łęczna* nad rzeką Wieprzem, liczące także przeszło pół-trzecia tysiąca mieszkańców; wspominam wam o niém tylko dlatego, że w Łęcznie, odbywa się ważny jarmark, szczególniéj na konie i woły. Wspomnieć wam muszę też o *Osadzie Nowéj Aleksandryi*, która nie nazywa się miastem, bo prawo miejskie nie jest jej przyznane; ale jest to osada ważna, bo ma trzy tysiące mieszkańców, nazywała się zaś przed dwudziestu kilku laty *Puławami*. W pobliżu téj osady jest Aleksandryjski instytut wychowania panien, nazwany tak od imienia Cesarzowéj Aleksandry, pod któréj opieką pozostaje. Miejsce to odznacza się ślicznem położeniem i wielu pamiątkami przeszłości.

Z powiatem Lubelskim graniczy na północ powiat Radzyński, w którym miasto powiatowe *Radzyń*, mające do półtrzecia tysiąca mieszkańców, o którym nic szczególnego nie ma do powiedzenia. Daleko ważniejszém pod względem handlu jest miasto w tym powiecie leżące, *Międzyrzec*, bo ma 8 tysięcy mieszkańców; z tych przeszło 6 tysięcy samych żydów. Miasto prowadzi znaczny handel i jest dosyć porządnie zabudowane. *Parczew*, miasto znane w historyi Polskiéj, bo Władysław Jagiełło obrał je za miejsce wspólnych obrad między obu narodami, Polakami i Litwinami. Ostatni zjazd odbyty w Parczewie miał miejsce w r. 1564 za Zygmunta Augusta. Zjazd ten pamiętny tém, że wówczas Polska przyjęła i za obowiązującą dla siebie uznała księgę praw kościelnych, ułożoną przez duchowieństwo katolickie na Soborze Trydenckim.

Jaś. Co to Sobór?

Ojciec. Kościół święty w razie rozszerzania się nauki, przeciwnéj przyjętym przez niego dogmatom wiary, zwykle zwołuje duchowieństwo ze wszystkich krajów katolickich dla naradzenia się nad sposobami zbicia zarzutów, kościołowi czynionych, dla obmyślenia środków wytępienia herezyi, dla poprawienia zarządu kościelnego, dla poskromienia nadużyć tak władzy świeckiéj, jako i duchownéj. Otóż takie zebranie się panów duchownych, a często i świeckich nazywa się Soborem. Taki Sobór był zwołany w mieście Niemieckiém, Trydencie (w Tyrolu) w r 1545, a to co na tym Soborze duchowieństwo uchwaliło, zebrano w jednę księgę uchwał, do któréj w rzeczach duchownych dotąd się stosują kraje katolickie, chociaż i nie wszystkie uchwały są wszędzie równo wykonywane. Sobór ten trwał 18 lat, bo od 1545 do 1563. Temu Soborowi czas jakiś przewodniczył Polak Stanisław Hozyusz, biskup Warmiński, który najwięcéj się przyczynił do wstrzymania Polski od przyjęcia nauki Lutra, do któréj panowie polscy w owym czasie, jako do nowości, wielki mieli pociąg.

Otóż z Parczewa zajechaliśmy aż do Trydentu, ale już do Parczewa nie mamy po co wracać, tylko zajrzyjmy do *Włodawy*, także w powiecie Radzyńskim leżącéj, a dziś ważnéj dlatego, że tam urządzoną jest kwarantanna na bydło stepowe, przypędzane z gubernij Cesarstwa Rossyjskiego do królestwa Polskiego.

Jaś. Co to kwarantanna?

Ojciec. Bydło stepowe, długo pędzone, ulega częstokroć chorobie bardzo zaraźliwéj, nazywającéj się księgosuszem; choroba ta udziela się bydłu krajowemu, prędko się rozszerza i niszczy często cały majątek tak bogatego pana, jak i biednego chłopka. Otóż rząd polecił, żeby bydło przypędzane było do królestwa tylko przez Włodawę, gdzie lekarz bydła czyli weterynarz ogląda je, zatrzymuje dni kilka i puszcza wtedy dopiero kiedy się przekona, że bydło jest zupełnie zdrowe. Miejsce, w którém bydło jest zatrzymywane dla takiej obserwacyi czyli strzeżenia, nazywa się kwarantanną. Takie kwarantanny są urządzone na granicy rossyjskiéj od strony Turcyi i Azyi i dla ludzi, żeby jakiéj choroby zaraźliwéj z sobą nie przewozili; a że w razie podejrzenia o taką chorobę mu-

szą odsiedzieć pod dozorem czterdzieści dni, przeto czas ten nazwano czterdziestodniówką czyli kwarantanną od słowa włoskiego kwaranta, co znaczy czterdzieści. Na zakończenie wspomnę wam o mieście *Kocku*, mającém przeszło pół trzecia tysiąca mieszkańców, z okazałym pałacem i pięknym ogrodem.

Jaś. Czy to do tego miasta stosuje się przysłowie o Berku, co to zginął pod Kockiem.

Ojciec. Do tego samego.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Pies konfederacki.

Stanisław Białkowski szlachcic ze starego Mazowsza, dowodzący oddziałem wojskowym za dawnych czasów, miał pudla przy sobie, który wszędzie mu i zawsze towarzyszył. Przywiązanie jego szczególne, instynkt nadzwyczajny, wprawiały w podziwienie towarzyszów broni naszego szlachcica, który go też wysoko cenił. Nadaremnie ofiarowywano mu nieraz w zamian konie, psy i pieniądze niemałe. Gdybyście mi dobra dawali, nie odstąpię kochanego Dunaja, odpowiadał pan Stanisław.

Z oddziałem swoim przybył do samotnej w polu, a otoczonej lasami karczmy, z poleceniem oczyszczenia okolicy, z plądrujących maruderów. Zająwszy karczmę, wysłał dwudziestu konnych dla dostania języka, sam zresztą zbyt ufny, nie rozstawiwszy czat żadnych, udał się na poddasze, gdzie rzuciwszy się na siano, zmęczony całodziennym marszem twardo zasnął. Była już północ, księżyc przyświecał jasno, a przedzierając się przez podziurawiony dach karczmy, oświecał ją wewnątrz, gdzie konie i żołnierze bez porządku spoczywali. *Dunaj*, przez cały ciąg czasu, jak gdyby coś przeczuwał, biegał szybko po schodach, to na dół wyglądając na podwórze, to znowu do pana wracał. Jednym razem zawył przeraźliwie, i jak szalony rzuciwszy się na swego pana, targał nim z całej siły, aż go obudził. Pan Stanisław snem rozmarzony, niewiedział, co to znaczy, gdy ujrzał przetarłszy oczy, jak Dunaj ciągnie do niego nabity szturmak (1). Zdziwiony tem wielce, pochwycił go i wyjrzał dymnikiem. Przy pogodnej nocy zobaczył pod lasem w pobliżu gościńcem zbliżający się oddział jazdy nieprzyjacielskiej. Zbudził swoich, zatarasowano bramę karczmy, i żołnierze osadzili wszystkie wnijścia i okna ze strzelbami i pistoletami w ręku.

Nieprzyjaciel cichaczem podjechał, zsiadł z konia i z głośnym okrzykiem rzucił się na karczmę, ale gotowych znalazł, huk strzelby spłoszył napastników. Daremnie szturm powtórzyli odparci, dosiedli co rychlej koni, zostawując kilkunastu trupem swoich i szybko się znowu pod las cofali. Białkowski dał znak swoim, otwarto bramę karczmy, żołnierze z szablami rzucili się za wychodzącym nieprzyjacielem. Dunaj dopóki walka była pod karczmą, siedział spokojnie pod ławą, ale ujrzawszy, że pan dosiada konia, wyskoczył za nim. Walka w polu trwała krótko, patrol wysłany, uderzył na nieprzyjaciół z tyłu niespodzianie, wszystko poszło wrozsypkę. Po odniesionem zwycięztwie, gdy wrócono z łupami i więźniami do karczmy, Białkowski zaczął wołać wiernego Dunaja, ale daremnie. Wybiegł, szukając go wszędzie. Jakaż jego była rozpacz, gdy go ujrzał na polu bitwy roztratowanego. Przywiązane psisko łaszczy się, jęczy, liże ręce swego pana. Porywa go pan na ręce i przynosi do karczmy. Dunaj zaledwie przyprowadzonych ujrzał niewolników, chciał się rzucić na nich, lecz osłabiony spadł ze stołu, na którym go położono. Podniósł jeszcze głowę, zaiskrzyły mu się oczy, zawył przeraźliwie i w jednej chwili zamilknął. Przybiega Białkowski, podnosi go... już nie żył wierny jego przyjaciel.

Widziano, jak odważny ten żołnierz płakał rzewliwie, a ile razy opowiadał ten wypadek, w którym go z towarzyszami wierny Dunaj ocalił, nigdy łez nie mógł powstrzymać.

(1) Rodzaj dawnej broni palnej.

Przysłowia.

1. Żonęś pojął z wielkiem wianem,
   Wiedz, że nie będziesz jej panem.
2. Szczodrym z cudzego,
   Niema nic chwalebnego.
3. Sąsiedzka trwoga,
   Twoja przestroga.

W drukarni J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 15 (27) września 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.